

Kresowiak Galicyski

3**1991****W numerze:**

- Chciałam zobaczyć Sybir
- Jeśli chcesz otrzeć sierocą łzę
- Żywi umarłym
- Kto nie chce likwidacji POM Dachnów?
- Kronika Policyjna
- Sport

Cieszanów

Horyniec

Lubaczów

Narol

Oleszyce

Stary Dzików

Wielkie Oczy

Nr 3 15.XI.1991r.

Lokalny dwutygodnik społeczny

Cena 2000 zł

Słynny ortopeda z Rudy Różanieckiej

Kto z nas nie słyszał o doktorze Koczanie, o człowieku legendzie, otoczonym powszechną sławą? Gdy tylko, ktoś w rodzinie, wśród znajomych, ulega groźnemu dla życia wypadkowi mówi się: trzeba jechać do doktora Koczana. I jadą do niego chorzy którzy mają za sobą tygodnie leżenia na szpitalnych łóżkach i którzy byli już w rękach pseudospecjalistów, lekarzy od wszystkiego a nawet znachorów. Jest ich ostatnią nadzieją, ostatnią deską ratunku przed kalectwem, życiem na inwalidzkim wózku nawet przed śmiercią. Czasami nie stęły przyjeżdżają już za późno.



Zazwyczaj dla swoich pacjentów nie ma dobrej nowiny. Nie można im powiedzieć, że czeka ich tylko prosty zabieg i za kilka dni wrócą do zdrowia. Wprost przeciwnie ze względu na skalę obrażeń, błędy popełnione przez innych, powrót do zdrowia okupiony musi być długim żmudnym i zarazem skomplikowanym leczeniem. Ten specjalista od kości, od ich składania, wydłużania, szlutowania, w świecie lekarskim uchodził za jednego z najwybitniejszych ortopedów. Areną jego wyczynów jest sala operacyjna. Swoją zawód traktuje z pasją i poświęca mu się bez reszty. Iu ludziom pomógł, Iu znakomitościom ze wszelkich dziedzin życia oszczędził cierpienia? — trudno powiedzieć. Nigdy nie prowadził takiej statystyki.

Wreszcie wyruszam na spotkanie z tym człowiekiem. Piszę „wreszcie” gdyż aby zastać znakomitego lekarza w domu trzeba mieć wyjątkowe szczęście. Uzgodnione terminy musiały być wielokrotnie zmieniane. Powód zawsze ten sam: nagle niespodziewane wezwanie do szpitala i to niekoniecznie tylko w Rzeszowie. Jedzie bo przywieziono młodą dziewczynę ze zmiążdżoną nogą, bo starszemu mężczyźnie z Łańcuta chcą obcinać rękę, bo jeszcze inny ma pogruchotany obojczyk. Trzymam tylko kciuki aby i nasza rozmowa z tych powodów nie została przerwana.

Wita mnie człowiek krępej budowy ciała i o zmęczonej twarzy. Znamy się od wielu lat i może dlatego oświadcza: „*Słuchaj, zanim przejdziemy do rozmowy poczęstuję cię kapuśniakiem. Gotuję przecież dla swoich chłopców. Popatrz, mam tutaj kilka książek kucharskich i nimi się kieruję*”. Faktycznie kapuśniak był znakomity.

Zaczyna opowiadać o swej drodze do lekarskiej kariery. Z jego wypowiedzi przebija skromność i prostota. Ani cienia chępliwej dumy i zarozumiałości. Stąd też aby móc pisać o jego osiągnięciach i sukcesach musiałem rozmawiać z innymi lekarzami jak też z byłymi pacjentami, ludźmi z jego wsi rodzinnej.

Ten słynny ortopeda urodził się w 1932 roku w Rudzie Różanieckiej, w rodzinie chłopskiej. Edukacja w szkole podstawowej przypada na lata okupacji. W jego wsi obramowanej lasami działa silny ruch oporu. „*W sąsiedztwie jego domu — wspomina — były partyzant Franciszek Ważny z Cieszanowa — mieścił się sztab AK Młody Koczan jak na wiek wyjątkowo dojrzały, ciągle kręcił się wśród przebywających tam oficerów. Gdy się zorientowano, że nieźle zna język niemiecki, wysyłany był na przesłuchania do stacjonujących we wsi żołnierzy wermachtu. A jego ojciec, też akowiec, pełnił funkcję łącznika i na koniu rozwoził meldunki do stacjonujących w lasach oddziałów*”.

Po wojnie dalszą nauką Mieczysław Koczan rozpoczyna w Liceum Ogólnokształcącym w Lubaczowie. Ale po dwóch latach przenosi się do Raciborza i tam otrzymuje maturę. Już w szkole średniej przyjął sobie za cel zostać lekarzem i pomagać ludziom. Zdaje więc egzamin i zostaje przyjęty na Akademię Medyczną w Krakowie.

W 1955 roku kończy studia, i jak mówi, „zostaje kupiony” przez Wydział Zdrowia w Rzeszowie. Tutaj trafia do Szpitala Wojewódzkiego na oddział chirurgiczny. Nie pracuje jednak długo. Po pół roku na zasadzie awansu, przeniesiono go na pododdział chirurgii urazowej. W bardzo krótkim czasie daje się poznać jako zdolny lekarz i zostaje mianowany zastępcą ordynatora tego oddziału. Na młodego wówczas doktora spadła więc olbrzymia odpowiedzialność i obowiązki, tym bardziej, że pododdział ten był jedynym w całym wówczas dużym województwie i trafiali do niego najczęściej chorzy, którym nie mogli już pomóc lekarze ze szpitali terenowych. Koczan z energią przystąpił do pracy. Szpital i jego podopieczni stali się dla niego drugim domem. Udały coraz bardziej skomplikowane operacje przynoszą mu rozgłos.

Z tych też względów w 1956 roku zostaje stypendystą Ministerstwa Zdrowia i przez 4 lata kontynuuje naukę w Warszawie, w zakresie chirurgii urazowej. Egzamin z wynikiem bardzo dobrym zdaje w 1962 roku. Nie poprzestaje jednak na tym i pogłębia specjalizację przez kolejne dwa lata u najwybitniejszych wówczas sław w kraju: u profesora Adama Grucy, Donata Tylmana, Stefana Łukasika i Mariana Waissa w Konstancinie. I ten etap edukacji kończy z wynikiem bardzo dobrym.

Wzbogacony wiedzą, praktyką lekarską i doświadczeniem, kieruje pododdziałem chirurgii urazowej w Szpitalu Wojewódzkim w Rzeszowie. Wkrótce jednak przechodzi do nowo powstałego oddziału chirurgii urazowo-ortopedycznej. Tutaj w 1972 roku wygrywa jednogłośnie konkurs na ordynatora tego oddziału. Stan oddziału nie nastrojał wówczas do optymizmu. Brakowało asystentów i odpowiedniego zaplecza. Sala operacyjna nie nadawała się wręcz do zabiegów. Nowy ordynator przystępuje do modernizacji oddziału. Jego zaangażowanie i interwencje doprowadzają do zbudowania nowoczesnego bloku operacyjnego, z dwoma salami operacyjnymi

cd. na str. 3

PKS Z LUBACZOWA DO SAMBORA

Wzmaga się ruch turystyczny między Lubaczowem a miejscowościami w obwodzie lwowskim. Wychodząc naprzeciw potrzebom oddziały PKS w Lubaczowie i Samborze uruchomiły bezpośrednie kursy pośpieszne między tymi miastami. Kupując bilet za 50 tys. zł, wsiadamy do autobusu w Lubaczowie o godz. 13³⁰ lub 19⁰⁰ aby dojechać do Sambora za ok. 3,5 godziny. Powrót stamtąd o godz. 6⁴⁵ lub 9⁰⁰ (czasu warszawskiego). Jesteśmy w domu na godz. 10³⁰ i 13¹⁵. Bilet powrotny kupujemy za 3 dolary. Autobusy te cieszą się dużym powodzeniem turystów.

A.L.

W OLESZYCACH BUDUJĄ STADION SZKOLNY

Dzięki ludziom dobrej woli, Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Oleszycach, będzie miała stadion. Życzliwy oświacie ksiądz proboszcz Michał Goniak, za zgodą władz kościelnych, odstąpił 1,20 ha gruntu. Ponadto zagospodarowano nieużytek. Wyrównano teren a trawę dała Centrala Nasienna by zasiać murawę. Miejscowe Nadleśnictwo wykonało wykopy pod bieżnię. Na jej wykonanie żużel przeznaczył Zakład Płyt Pileńskich w Przemyśle. Oddział Transportu Leśnego w Przemyśle, wożąc wóla z miejscowego tartaku, w drodze powrotnej przywiózł żużel. Rada Miasta i Gminy zapewniła drzewo na wykonanie miejsc siedzących na widowni dla tysiąca widzów. Wiele prac wykonuje sama młodzież. Wspólnym wysiłkiem zbudowany zostanie obiekt, na który składać się będzie: duże boisko do piłki nożnej, zespół boisk do gier małych (koszykówka, siatkówka), kort tenisowy, bieżnia, rzutnie i skocznie do lekkoatletyki, widownia na tysiąc miejsc siedzących. Oleszyce udowadniają, że w tych trudnych czasach, można zrobić wiele pożytecznego.

A.L.

ZAMIENIONO WYSPĘ NA PÓLWYSEP

W okresie modnych czynów partyjnych zagospodarowano koryto nie istniejącej już rzeki koło młyna w Lubaczowie. Urządzono wyspę, na którą można było się dostać przez mostek. Na wysepce stał czerwony grzyb. Chyba nie trujący, bo nie słyszeliśmy, by ktoś się rozchorował. Wysepkę nazwano „Henrykówką” lub wyspa św. Henryka (od imienia Towarzysza Sekretarza). W bieżącym roku, robiąc porządki przed wizytą Papieża w naszym mieście, zlikwidowano wyspę. Zniknął mostek. No i grzyb czerwony. Posadzono nowy. Borowika. Już czarnieje. Czyżby był nieprawdziwy? Wyspę zamieniono na półwysep. Nie ma on imienia. A szkoda.

POLSKI RYSUNEK WSPÓŁCZESNY NA WYSTAWIE W LUBACZOWSKIM MUZEUM

Lubaczów leży na kresach Rzeczypospolitej. Zdawać by się mogło, że jego mieszkańcy mają utrudniony dostęp w poznaniu nowoczesnych trendów w sztuce. Rzeczywistość jest inna. Jednym ze statutowych powinności lubaczowskiego Muzeum jest gromadzenie współczesnych rysunków i obrazów. Na wystawie, trwającej do 30 listopada, można obejrzeć współczesny rysunek i to w wykonaniu najlepszych plastyków w kraju. Podziwiać możemy rysunki: Zdzisława Beksińskiego, Tadeusza Kulisiwicza, Alfreda Lenicy, Aleksandra Kobzdeja, Stanisława Góreckiego, Zbigniewa Strzałkowskiego. Środowisko krakowskie reprezentują prace: Stanisława Wójtowicza, Ryszarda Otręby, Adama Hoffmana, Henryka Wanka. Natomiast z „Grupy Krakowskiej”: Janusza Sterna, Erny Rosensteina, Kazimierza Mikulskiego, Marli Jaremy, Janusza Tarabudy, Wacława Browskiego, Tadeusza Brzozowskiego. Ważną pozycję zajmują na wystawie monotypy Teresy Pagowskiej, pastele Alicji Wahl, Jacka Waltosia oraz dwie prace komputerowe Jana Pamuly. W kolekcji tej nie zabrakło prac rysowników zajmujących się rysunkiem ilustracyjnym: Antoniego Uniechowskiego, Marka Rudnickiego, Bronisława Kurdziela, Majli Berezowskiej, Adama Macedońskiego, Jerzego Zaruby. Na wystawie eksponuje się około 40 prac najwybitniejszych rysowników. Warto ją obejrzeć. Spełnia ona ważną rolę edukacyjną w zakresie współczesnej sztuki. Polecamy tę wystawę także obejrzeniu przez młodzież szkolną.

A. Lazar

PKS ZAWIESIŁ 14 KURSÓW W LUBACZOWSKIM

Od 1 listopada br. w rozkładzie jazdy PKS w Lubaczowskim nastąpiły zmiany. Zawieszono 14 kursów: po 2 do Budmierza, Starego Dzikowa (przez Ułazów), Starego Lublińca, Moszczanicy, Tarnawskich, Żmijowisk, Wielkich Oczu.

Korekty w rozkładzie były niezbędne. Mniej ludzi dojeżdża do pracy, w związku z upadłością niektórych zakładów pracy bądź redukcją w zatrudnieniu. Ograniczyliśmy przyjazdy autobusów do

Lubaczowa na godz. 6⁰⁰. Przywozimy pracowników na godz. 7⁰⁰, a młodzież szkolną na godz. 8⁰⁰. Skróciliśmy czas pracy kierowców. „Wypadły” te kursy, które były nierentowne. Wszystkich nas obowiązuje program oszczędnościowy. Koszty eksploatacji są duże, dotacja coraz mniejsza. Ceny biletów są niskie, ale w stosunku do zarobków duże. Nie mamy pieniędzy na zakup nowych autobusów. Rocznie przejeżdżają one ok. 2 mln km. Rocznie powinniśmy zakupować 4 autokary. W tym roku kupiliśmy zaledwie jeden. — wyjaśnia kierownik Dyspozycji PKS w Lubaczowie p. Stanisław Bujara.

Pocieszającym jest fakt, że każda miejscowość nie straciła kontaktu z Lubaczowem. A przecież PKS dojeżdża do ponad 50 miejscowości. W rozkładzie jazdy pozostało 136 kursów na dobę z Lubaczowa, w tym 23 pośpiesznych.

A. Lazar

KOCHANIE! DOSTALIŚMY MIESZKANIE

Nowe mieszkanie dla wielu ludzi żyjących w walcących się ruderach, w wynajmowanych u obcych kątach, jest niewątpliwie szczytem szczęścia, wszystko przez parę kluczyków otrzymanych od prezesa spółdzielni mieszkaniowej.

Czy jednak takie kluczyki mogą być przyczyną załamania, tragedii, wręcz rozpacz? Okazuje się że tak!

Mieszkańcy pięknych bloków 4 i 5, pięknego osiedla Sobieskiego w Narolu, dostali ostatnio ze swej macierzystej Spółdzielni Mieszkaniowej w Lubaczowie całkiem sympatyczne karteczki wzywające ich do spłacenia w przeciągu dwóch tygodni zaległych odsetek od kredytu mieszkaniowego, zaciągniętego przez spółdzielnię. Na dole karteczki, oprócz maleńkiej sumki wahającej się od 3 do 7 mln złotych, jakże przyjemne „zdanko” informujące o tym, że w razie niezapłacenia powyższej sumy sprawę odda się do sądu. No i „sprawa” załatwiona!

Od razu przypomina mi się dowcip mówiący o tym, żeby nie kopać leżącego. No to kogo kopać? — pada pytanie. Ja, jako jeden ze szczęśliwych właścicieli mieszkania M-4, otrzymałem karteczkę mówiącą o natychmiastowej zapłacie 4,2 mln zł zaległych odsetek.

Zaległości te wzięły się stąd, że naliczono mi początkowo czynsz w wys. 1,5 mln zł miesięcznie, a następnie obniżono tę kwotę do 1,2 mln, której oczywiście nie mogłem zapłacić. Pracując jako nauczyciel nie zarabiam (zwłaszcza dzisiaj) tak „potężnej” sumy, a trzeba było mimo to utrzymać żonę, która sama postanowiła wychowywać dziecko. No, ale co tam dziecko! Może się potulić trochę po ludziach. Nikomu to nie zaszkodzi. Ba, to świetna szkoła życia! Trzeba być twardym, nawet kiedy ma się 2 i pół roku.

Zadecydowaliśmy z żoną, że koniec wychowywania i leniuchowania. Naród coraz bardziej chory (żona jest pielęgniarką) a i pieniądz w domu się przyda (może w końcu kupimy buty zimowe dla dziecka?).

Oczekiwanie przez miesiąc na „furę” pieniędzy zżarło mi trochę zdrowia. W końcu wypłata i taakie oczy! Zarabiamy razem tyle ile zarabiałem sam w ubiegłym roku. Nie kupimy jednak tych butów. Niech się dziecko hartuje. A czy na przykład musi się jeść mięso aż dwa razy w tygodniu?

Pisze o swojej „sielankowej” sytuacji bo uważam, że takich nowo-bogackich rodzin jak moja jest tysiące w naszym kraju, a już na pewno kilkanaście na moim małym osiedlu. Ba, są jeszcze „bogatsi” ode mnie. Łączę się z nimi braterskim pozdrowieniem: „aby do jutra”.

Jako człowiek nie lubiący beczynności, mając tak piękne hasło, proponuję założenie partii. Byłaby to potężna siła zważywszy, że zapisywaliby się do niej wszyscy znajdujący się w podobnej sytuacji co ja. Moglibyśmy się nazywać PPU (Polska Partia Ubóstwa) lub PBPM (Partia Biedaków Posiadających Mieszkanie) nazwa do uzgodnienia. A jeśli ktoś zapyta: Gdzie pierwszy Kongres? Odpowiem: Jak to gdzie? W sądzie.

Konrad Nowosiwiat

cd. ze str. 1

i z pełnym zapleczem. Przyjmuje też nowych pracowników oraz asystentów. W efekcie takich działań jeszcze w latach siedemdziesiątych w skali roku na prowadzonym przez niego oddziale leczono około 1000 chorych i wykonywano 600 operacji.

Bolesnie przeżywa w 1978 roku śmierć żony Barbary. Była lekarzem pediatrią — dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Matki i Dziecka. Została z dwoma synami którzy wówczas rozpoczęli naukę w szkole średniej. Nie załamuje się jednak i chłopakom skutecznie zastępuje matkę.

Wciąż jednak się uczy, ma ambicję zostać mistrzem w zakresie swojej specjalizacji, tym bardziej, że sława jego ustawicznie rośnie. W 1975 roku uzyskuje doktorat z zakresu chirurgii urazowej. Zostaje też mianowany konsultantem wojewódzkim w Rzeszowie i Krośnie — którym jest do dziś. W ramach tej funkcji wizytuje wybrane szpitale w woj. krośnieńskim i rzeszowskim. Ma na swoim koncie opublikowanych 18 prac naukowych. Dorobek naukowy jak też osiągnięcia w praktyce lekarskiej, zadecydowały o nominacji Mieczysława Koczana na adiunkta Akademii Medycznej w Krakowie. Prowadzi zajęcia ze studentami V i VI roku, które kończą się egzaminem.

Niezależnie od działalności naukowej na uczelni prowadził szkolenie specjalistyczne dla lekarzy z całego regionu i to zarówno na oddziale u siebie jak też w terenie. W ich wyniku Mieczysław Koczan przygotował wielu znakomitych lekarzy, którzy po uzyskaniu specjalizacji pełnią obowiązki ordynatorów w szpitalach w Jasle, Sanoku, Krośnie, Leżajsku i Gorlicach a w Łańcucie, Mielcu, Jarosławiu, Nisku i Brzozowie prowadzą pododdziały chirurgii urazowej. Nasz doktor nie uchyla się też od działalności społecznej. Jest duszą Rzeszowskiego Towarzystwa Ortopedycznego a przez dwie kadencje był nawet jego prezesem. Kierowany przez niego oddział podejmuje nowe specjalizacje. Ze względu na dużą urazowość i choroby ortopedyczne u dzieci przystąpiono do leczenia tych wad u młodocianych. Specjalnością oddziału wręcz unikalną w naszym regionie a nawet kraju jest dokonywanie przez doktora Koczana wymiany stawów biodrowych. O ile takich zabiegów w skali roku, w latach siedemdziesiątych wykonywał kilkanaście, to aktualnie w tym samym czasie 170. Sytuuje to Szpital w Rzeszowie na czwartym miejscu w kraju. Należy dodać, że jest to wyjątkowo trudna operacja wymagająca niesłychanej precyzji. Najmniejszy bowiem błąd kończy się kompletnym niepowodzeniem. Ponadto od 2 lat wykonywane są operacje kręgosłupa metodą Horigtona. Przeprowadzony natychmiast po złamaniu kręgosłupa zabieg przywraca choremu zdrowie a nawet życie.

Pytam jak się czuje człowiek który tysiące osób uratował od kalectwa i ma świadomość że jest sławny? „Z tą sławą to przesada — mówi — dla mnie liczy się przede wszystkim satysfakcja, że pomagam ludziom, tym bardziej, że z dowodami wdzięczności od swoich byłych pacjentów spotykam się na każdym kroku. Wystarczy wyjść na ulicę a już któryś z kierowców proponuje podwiezienie. O! chociażby dzisiaj, jeden z nich powiedział dzięki Panu chodzę. Z podobnymi gestami spotykam się na dworcach, w sklepach. Osoby których nie pamiętam podchodzą, dziękują, proponują pomoc”.

Swego czasu jedna z pacjentek, obywatelka USA, w dowód wdzięczności za ocalenie jej od inwalidzkiego wózka zaprosiła go w odwiedziny do swego kraju. Tam jednak zamiast turystyką najbardziej interesował się szpitalami. Gdy jedna z klinik zorientowała się w jego możliwościach, z miejsca zaproponowała mu pozostanie i pracę na wyjątkowo korzystnych warunkach. Jednak przyjęcia tej oferty zdecydowanie odmówił a przedstawicielowi prasy oświadczył wówczas: „Jestem synem wsi lubaczowskiej. Podniesiony zostałem do godności ordynatora Szpitala Wojewódzkiego. Jestem dumny i usatysfakcjonowany, że swoich rodaków mogę skutecznie leczyć, swe umiejętności oraz wiedzę przekazywać innym. Nie mógłbym zostać w tym kraju, gdy w Polsce mieszkańcy naszego regionu dają mi pełną sympatię i zaufaniem”.

W słowach tych nie ma ani odrobiny przesady. Ten słynny ortopeda, w przeciwnieństwie do wielu wychodźców ze wsi, którzy w mieście osiągnęli sukces, nie wyparł się swego rodowodu. Swoją włość, rodzinne strony, mieszkańców całego byłego powiatu lubaczowskiego darzy wielkim szacunkiem i sentymentem. Dokąd żyli jego rodzice nie było miesiąca, świąt aby nie zjawił się w rodzinnym domu. W trakcie takich pobytów odnawiał dom, mył podłogę, okna. Nie były to więc wizyty relaksowe, tym bardziej, że z miejsca miał do czynienia z pacjentami. Wieść bowiem o jego przyjeździe lotem błyskawicy rozchodziła się po okolicy. W efekcie niemalże na poczekaniu, przed domem formowała się kolejka z furmanek, samochołów. I nasz doktor zamiast świętować czy odpoczywać musiał badać, stawiać diagnozy, radzić. Chociaż nie żyją rodzice, nie zapomina o rodzinnej wsi. Przyjeżdża tu do stryja, odwiedza rodzinny dom, znajomych. Również w jego mieszkaniu w Rzeszowie zauważalna jest więź

ze wsią. Sporo tu bowiem świątków, rzeźb żniwiarzy, kosiarzy, oraczy. Z dumą podkreśla, że umie wykonywać niemal wszystkie gospodarskie czynności. Przy tej okazji opowiada zabawny incydent. „Jednego dnia zauważyłem przez okno, że robotnik nieudolnie, nie umiejąc nawet trzymać kosy, kosi trawę na szpitalnym skwerku. Nie wytrzymałem, zbiegłem na dół, wziąłem z rąk robotnika kosę, podostriżylem i zacząłem kosić, zostawiając za sobą dwukrotnie szerszy pokos i faktycznie ściętą trawę. W pewnym momencie gdy popatrzyłem w górę, w oknach szpitala na wszystkich piętrach było mnóstwo głów.”

Szukam klucza do źródeł sukcesu doktora Koczana. Sam oświadcza, że jest to efekt zgrupowania wokół siebie znakomitych lekarzy i ustawicznej ich mobilizacji do pracy nad sobą. Stawia na profesjonalizm i każdemu daje szansę. Z uwagą wysłuchuje każdej opinii, każdej propozycji nowatorskiego podejścia do leczenia. Stąd też szansę zostania jego współpracownikami mają tylko najlepsi, ludzie wyjątkowo ambitni i traktujący swą pracę z pasją. Jednym z nich jest jego syn Marek, który mimo stosunkowo krótkiego stażu pracy zaskarbił już sobie opinię dobrego lekarza. Z tych też powodów dzwoniąc do szpitala do doktora Koczana od odbierającej telefon pielęgniarki można usłyszeć: „Mam prosić Koczana seniora czy juniora”

Ale wielość zadań, sława dobrego lekarza powoduje, że ten człowiek cierpi na chroniczny brak czasu. Dla niego doba powinna mieć nie 24 ale 50 godzin. Stał się niewolnikiem własnego sukcesu. Skomplikowanych, trudnych przypadków do leczenia przybywa a możliwości Koczana jak też jego zespołu są przecież ograniczone. Nawet w trakcie mojej wizyty naliczyłem kilkanaście telefonów z różnych miast z naszego regionu a nawet kraju, z błagalnymi prośbami o podjęcie się operacji, przyjęcie chorego, o przyjazd.

Ludzie dopadają go wszędzie: na korytarzu, schodach, nawet w windzie. Czy go ktoś widział na spacerze? Siedzącego na ławeczce w cieniu drzew? dotrwającego do końca na przyjęciu rodzinnym, imienninowym? Nigdy. Sam mówi, że na taki komfort nie ma czasu. Jest w ustawicznym napięciu, ciągle się śpieszy, ciągle jedna sprawa goni kolejną. Jeszcze dobrze nie kończy rozmowy z jednym pacjentem już dobija się kolejny. „Będąc w Rzeszowie postanowiłem odwiedzić doktora Koczana — opowiada jego krajan z Cieszanowa. Na mój widok zawołał: Franuś jak się cziesz? Jeślibyś do mnie! Już ci robię kawę. Podając mi ją rzekł — Nie obraż się na parę minut muszę wyjść. Mam taki drobny zabieg. Czekam piętnaście minut, pół godziny, godzinę a Koczana wciąż nie ma, wobec czego pognałem do autobusu. Gdyśmy spotkali się po paru tygodniach nawet nie nawiązał do tego incydentu.” Pośpiech jednak znika przy stole operacyjnym, w trakcie badania chorego. Wtedy ma czas na refleksję i pełną koncentrację uwagi. „Starszy człowiek nie potrzebuje długiego spania — mówi — stąd nawet w nocy budząc się rozważam warianty czekającej mnie skomplikowanej operacji. Zjawiając się w dzień w szpitalu mam już koncepcje jej przeprowadzenia.”

Nasz doktor nie należy do pedantów. „Doktora Koczana po raz pierwszy zobaczyłem na jednym sympozjum naukowym — opowiada mi jeden z lekarzy — Zanim się nie zjawił z referatem na mównicy ani przez moment nie przypuszczałem, że ten rzucający się w oczy ruchliwy pan, ze zmiętą marynarką na plecach to właśnie doktor Koczan. Jego ubiór kontrastował z wyglądem wielu obecnych na sali lekarzy. Ale on a nie elegancko ubrany panowie był gwiazdorem tego sympozjum. Jego referat spotkał się z wyjątkowym zainteresowaniem, a w trakcie przerwy był nieprzerwanie oblegany przez specjalistów po fachu, przybyłych tu niemalże z całego kraju”.

Nie dba też o swoją biografię, o rodzinne czy prywatne archiwum. Gdy go poprosiłem o zdjęcie do naszej gazety to po długich poszukiwaniach znalazł tylko jedno — małe, legitymacyjne. Nie dysponuje ani jednym z kilkunastu artykułów prasowych jakie ukazały się na jego temat.

Jest już późny wieczór. Jeszcze raz nawiazuje do stron rodzinnych, jeszcze raz podkreśla, że ziemia lubaczowska jest mu wyjątkowo bliska. Dotyczy to również pacjentów z tych stron przyjeżdżających. Zjawiają się o każdej porze dnia i nocy, pukają do drzwi, dzwonią. Jest dumny, że tym ludziom może pomóc. O! chociażby dziś — zjawila się kobieta z Lubaczowa bezsilna i zagubiona w labiryntach szpitala. Pomogłem jej zrobić zdjęcie złamanej ręki i ustaliłem termin operacji. Cieszy się że tu o nim pamiętają, że swego czasu został w Lubaczowie wpisany do księgi zasłużonych. My też wszyscy mieszkańcy tej ziemi możemy być dumni z naszego ziomka, usatysfakcjonowani, że nam pomaga, że nas leczy.

Oby nikt z nas nie musiał jechać do doktora Koczana. Los jednak bywa nieubłagany. Gdy spotka nas nieszczęście czujemy się mocniejsi mając świadomość, że w nieodległym Rzeszowie mamy naszego doktora. Życzymy mu więc długich lat życia i dalszych nieprzerwanych sukcesów na zajmowanym posterunku.

Marek Wrzos

Jeśli chcesz otrzeć sierocą łzę

Mila Czytelniczko!

Szanowny Czytelniku!

Poznaj siłę swego serca i woli! Nie licz na nagrody, a raczej na chwilowe trudności. Bądź pewny wdzięczności i pamięci dziecka.

Redakcja Kresowiaka Galicyjskiego wychodzi z propozycją zorganizowania przyjazdu dzieci z Państwowego Domu Dziecka w Przemyślu w czasie ferii świątecznych Bożego Narodzenia, do poszczególnych rodzin z terenu powiatu lubaczowskiego.

Ciężkie to czasy dla wszystkich, tego nie trzeba uzasadniać. Jednak są rodziny, które mają możliwość wziąć na parę świątecznych dni dziecko z PDD. Chcemy w tym pośredniczyć. Jeśli będą chętni to nawiążemy kontakt z Dyrekcją Domu Dziecka w Przemyślu. Uważamy, że znajdzie się też autobus z zakładu pracy, który te dzieci przywiezie do Lubaczowa i odwiezie do Przemyśla. Jeśli chcesz otrzeć sierocą łzę, zobaczyć uśmiech na małej buźce, poczuć bicie wdzięcznego małego serca, zobaczyć palec w ustach malucha, który będzie zażenowany nowym otoczeniem, usłyszeć słowo dziękuję, odczuć przyjemność głaskania twojej ręki dzieciną rączką, mieć satysfakcję z pomocy drugiemu, **to nie czekaj**, napisz do nas. Pozostało już mało czasu, tylko ponad miesiąc. Nie zamykaj się w sobie, nie narzekaj ciągle na biedę, zobacz, że innym żyje się jeszcze gorzej. I tak stawiasz dodatkowe nakrycie na stół w wieczór wigilijny. Niech tradycja spełni się. Może Twoje dzieci nawiążą przyjaźń z innym dzieckiem, dowiedzą się o smutku samotności, choroby sieroczej, bezradności. Będziesz miał możliwość zwalczyć swój egoizm i swego dziecka. Również jest to okazja sprawdzić siebie na ile jeszcze Twoje serce czule jest na ludzkie nieszczęście. Może to będzie Twój przyjaciel na całe życie, a może podpora na starość. Zanim podejmiesz decyzję głęboko się zastanów. Nie decyduj się na to, jeśli chcesz pokazać swoją wyższość wobec zagubionego czyjegoś dziecka, gdy wiesz, że znudzi ci się ono po paru dniach i zostawisz go jak lalkę, która już Cię nie ciekawi.

Podajemy nasz nowy adres:

Redakcja „Kresowiaka Galicyjskiego”

37-611 Cieszanów ul. 6 Grudnia (SKR)

Formalności będą też potrzebne. Podaj swoje nazwisko i imię, adres zamieszkania, uzasadnienie (możliwości mieszkaniowe, warunki bytowe itp.). Dyrekcja PDD musi wiedzieć komu daje w opiekę dzieci za które jest odpowiedzialna.

W Imieniu Redakcji
Edward Dziadula

ŻYWI UMARŁYM

Wszystkich Świętych. Przekroczyliśmy bramę cmentarną. Znaleźliśmy się w mieście umarłych. W mieście ciszy, pokoju, dostojności, zamyslenia. Nad przemijaniem, sensem życia. Odczuliśmy bliskość tych dwóch światów — żywych i umarłych. Przyszliznęli na groby naszych rodziców, krwonych, znajomych, nauczycieli, dobroczyńców, przyjaciół. Postawiliśmy na grobach chryzantemy, położyli kwiaty, zapalili znicze. Zadumaliśmy się nad ich życiem, ale i nad własnym. Zakreśliła się nam łza w oku, szepem popłynęła modlitwa. Ten dzień spotkania, z grobami nowymi, z tego roku, ale i z tymi zapadłymi w ziemię, sprzed wielu, wielu lat, potrzebny był nam żywym. Ta chwila obcowania z tymi, którzy znają swą Tajemnicę pomogła nam znaleźć swoje miejsce w łańcuchu pokoleń, zrewidować hierarchię wartości, jakimi żyjemy. Ich życie się dokonało, nic nie da się w nim zmienić, odwrócić. My mamy jeszcze szansę. Możemy zrewidować swoje postępowanie, czyny. Naprawić zło, przebaczyć, na nowo ułożyć kontakty z Bogiem i ludźmi.

Kiedy stałem nad grobem swoich rodziców i nauczycieli przypomniał mi się napis na grobie Jana Kiepury:

Gdy człowiek umiera

Nie pozostaje po nim na tej ziemi nic

Oprócz dobra, które uczynił innym.

Zrozumiałem lepiej co im zawdzięczam. Jaką naukę pozostawili mi w testamencie. Pierwszy mój dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych Michał Pióro powiedział: — Pamiętajcie, życie nie jest złożone z jednorodnego kruszcu, że w drobnym piasku codzienności, z rzadka błyska ziarno cennego metalu, że trzeba długo się trudzić, by wejść na chwilę w smugę słonecznego światła. W życiu bywa tak, że w pamięci pozostają godziny, a zacierają się lata, z tym, że na ogół sukces jest następstwem trudu i nie można liczyć na uśmiech losu.

Sam nie miał łatwego życia. Trudne warunki materialne zmusiły go do przerwania studiów na Uniwersytecie Lwowskim. Podjął się pracy we

Lwowie jako wychowawca w zakładzie dla dzieci opuszczonych i trudnych, potem w 10-letniej szkole jako nauczyciel chemii. Rodziców deportowano w głąb Rosji. On przyjechał do Lubaczowa. W trudnych i niebezpiecznych latach nie bał się działać. Był przewodniczącym PRN, pracował w związkach zawodowych, był działaczem partii chłopskiej, założycielem Banku Rolniczego, przewodniczącym klubu sportowego „Pogoń” a później „Gwardia”. To tylko niektóre społeczne funkcje. Zawodowo był nauczycielem w Liceum Ogólnokształcącym, a od 1953 r. do chwili przejścia na emeryturę tj. do 1970 r. był dyrektorem ZSZ. Z 2 klasowej szkoły zrobił Zespół Szkół Zawodowych, liczący ponad tysiąc uczniów. Zmarł w 1978 r. Urzekł nas, (młodych nauczycieli) swoją prostotą, rzeczowym entuzjazmem i pasją działania. Był pedagogiem mądrym, śmiałym, nie lekającym się trudności, umiejącym je pokonywać. Był życzliwym kolegą, niezmordowanym w służeniu innym. Załatwiał sprawy nie z pozycji władzy, ale z chęcią pomocy innym. Jego czyny nie są zapisane w księgach, ale żyją w umysłach i charakterach wychowanków, których wychował całe zastępy.

Potem pracowałem w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Spotkałem w nim wspaniałych działaczy: Annę Tabaczek, Marię Mazurkiewicz, Katarzynę i Edmunda Argasińskich. Mało kto pamięta, że Panie Anna i Katarzyna organizowały bibliotekę pedagogiczną, zakupiły pierwszy telewizor w Lubaczowie, krzewiły życie kulturalne wśród nauczycieli. Pani Maria, łączniczka AK, działająca pod pseudonimem „Dolares” w Tomaszowskim, uczyła w Pławowie i Lubaczowie. Organizowała dla nauczycieli corocznie wycieczki turystyczne po Polsce, by budzić patriotyzm i umiłowanie Ojczyzny. Pan Edmund był wraz z Ludwikiem Tabaczkim organizatorem oświaty w pow. lubaczowskim. Jako inspektor szkolny przemierzał wzdłuż i wszerz nasz powiat, docierał swoimi rowerem do szkół by je wizytować, a przede wszystkim pomagać nieodrodnym pedagogom. Gdy grasowały bandy UPA, w przebraniu wieśniaka, w płachcie na plecach z trawą lub zbożem przynosił pobory z Sanu. Nauczycielka z Dachnowa zapytała, co ma robić, gdyż banderowcy zagrozili jej zabiciem gdy nie przestanie uczyć, odpowiedział: Niech Pani postąpi zgodnie z własnym sumieniem. Uczyła dalej. Tej odwagi uczył swoim przykładem. Na emeryturze pomagał żonie prowadzić Kasę Zapomogowo-Pożyczkową „Kasunia” — (tak mówiono do Pani Katarzyny), prowadziła Kasę od 1949 r. aż do śmierci. Dzieliła pieniądze sprawiedliwie, dostrzegała każdego potrzebującego, spieszyła mu z pomocą. Pracę swoją wykonywała rzetelnie, terminowo. Ileż otrzymałem od niej cennych rad życiowych. Jak te: — Nie ma lepszego programu wychowawczego, jak: zło dobrem zwyciężaj, nienawiść — miłością, kłamstwo — prawdą, żądanie — daniem, bezczynność i zwątpienie — zaangażowaniem wiarą i nadzieją, że można osiągnąć cel, zamierzenia, efekty. Zawsze miała czas każdego wysłuchać, z każdym porozmawiać, każdemu doradzić.

A kiedy pracowałem w Wydziale Oświaty i Wychowania imponowali mnie kol. Czesław Pałczak i ksiądz dziekan Jakub Winiarz. Nie tylko mnie. Ich obydwu żegnały tysiące ludzi, przybyłych na cmentarz. Czesław był nauczycielem w Żukowie, kierownikiem szkoły w Hucie Różanieckiej, potem podinspektorem szkolnym, wizytatorem — metodykiem, gminnym dyrektorem szkół, inspektorem Oświaty i Wychowania w Lubaczowie — gminie. Pomnikiem jego życia jest Szkoła Podstawowa w Młodowie. Angażował się pełnią swej osobowości w życie polityczne i społeczne. W każdym widział człowieka, każdemu chciał pomóc i pomagał. Ilu z nas coś otrzymało z jego hojnej ręki! Z jaką satysfakcją to dawał. Wszyscy go lubili. Często doradzał: — Nie wiesz, jak pokonać przeciwnika? Pokochał go. Sam dawał przykład jak to czynić. Ksiądz prałat Jakub Winiarz dla każdego miał życzliwe słowo, wszystkich szanował. Obojętnie do jakiej opcji ktoś należał. Był człowiekiem wielkiej kultury, wielkiego serca. W każdym widział człowieka, szanował jego godność. Nikogo nie obrażał, gdyż uważał to za odzieranie się z doskonałości. Kochał ludzi i oni Go kochali.

W ten niezwykły dzień Wszystkich Świętych, Bogu byłem wdzięczny, że takich ludzi postawił na mojej drodze. Oni jak drogowskaz wskazywali co w życiu jest ważne. Mimo trudności, ciężkich czasów, służenie ludziom. Świadczenie im dobra. Miłość Boga i bliźniego.

Każdy z nas ma na cmentarzu kogoś, komu jest wdzięczny. Kogoś kogo zachowuje w pamięci. Ich dobre uczynki żyją w nas. My-żywi winni jesteśmy Im-zmarłym naszą modlitwą i ofiarą Mszy Św. Zwłaszcza w te listopadowe dni. Módlmy się o to, by Sprawiedliwy, ale pełen Miłości Bóg wynagrodził Im każdy okrucieństwo, skierowany ku nam.

Opuściliśmy cmentarz. Przeszli jeszcze raz przez bramę. Poszliśmy do naszych obowiązków. A z nami refleksja wyrażona strofami poezji:

A potem życie nas woła,

Odchodzimy od Bramy,

Do zobaczenia najmilsi

Spotkamy się, spotkamy.

A póki żyjemy „śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...”

ADAM LAZAR

Chciałam zobaczyć Sybir

„Będąc dzieckiem często szukałam na mapie Sybiru. Marzyłam o tym aby go zobaczyć.”

Ciąg dalszy wspomnień pani Zofii Borysowicz z Cieszanowa-Czereśnie

Może i niejednen marzył o ucieczce, lecz praktycznie rzecz biorąc była ona niemożliwa — nierealna, a przede wszystkim dlatego, że nie mieliśmy dokumentów osobistych, ani też pieniędzy, za które mogliśmy coś nie coś kupić z żywności, natomiast wielotysięczna odległość do Polski nie pozostawiała bez znaczenia. Jednak mimo takich warunków, ostrzeżeń i pogróżek milicyjnych, jeden młody mężczyzna uciekł z naszej osady, lecz dalszych losów jego nie znamy. Pamiętam tylko, że znęcano się psychicznie nad jego rodzicami. Z powodu ucieczki zaostrzyła się ogólna dyscyplina. Komendant niemal co wieczór chodził pod oknami baraków i podsłuchiwał, co i o czym mówili jego mieszkańcy, czy śpiewają pieśni religijne. W razie spotkania księżeczki do nabożeństwa — z miejsca była zabierana. Szczególnie się denerwował i złościł jeżeli słyszał rozmowy o Polsce. W takich przypadkach mawiał nam, że „wy Polscy nikąd nie uwidicie. Zdień żdit budiesz i padochniejsz”.

I rzeczywiście, trudno było wyżyć. Chleba i cukru na dzień dostawaliśmy na kartki niewiele. Co prawda, była też stołówka. Można było dostać zupy, ale była tak samo biedna jak i my, gdyż żadnego tłuszczu nie widział. Jeżeli był np. pęczak, to była z niego ugotowana i zupa i drugie danie. W takich warunkach Polacy sprzedawali Rosjanom wszelkie swoje rzeczy, z których mogli zrezygnować, bez których mogli się obejść, sprzedawali przede wszystkim za żywność.

Można sobie wyobrazić, jak my Polacy tam żyliśmy, ale też jak żyli Rosjanie, skoro zachowywali się i podziwiali naszą byle jaką odzież, którą myśmy z domu wzięli. A gdy jedna z Polek pokazała komendantowi strój krakowski, to o mało nie oniemiał z wrażenia. Nic dziwnego jak się to w Polsce mawia: ani ludzi, ani świata nie widział. Zapewne nie widział, gdyż żona jego przychodziła do Polaków pożyczać garnka do gotowania.

W miarę upływu czasu żyło się coraz trudniej. Rzeczy przywiezione z domu zużywając się, kończyły się całkowicie. Ci, którzy chodzili do pracy w lesie otrzymali kufajki, spodnie waciaki i walonki.

Materiałów tekstylnych prawie, że nie było, a to co przywieźli to były jakie gatunkowo i nieładne. Zimą dokuczało nam zimno, a latem — upał, muszki i plaga komarów, a w barakach — wstrętne karaluchy i wszelkiego rodzaju robactwo. W takich warunkach wszawice i świerzby były zjawiskiem powszechnym. Większość dzieci do jednego roku życia pomyślała. Po kilku latach ciężkiego życia, a na zachodzie Rosji po kilku latach wojny z Niemcami, doszły do nas wieści, że Rosjanie zaczęli wyzwalać powoli kraj z okupacji niemieckiej. Gdy front znajdował się u granic Polski z 1939 r., ożyła w nas nadzieja powrotu do kraju. Prawdą mówiąc, nadzieja ta nigdy nas nie opuszczała, nawet w najtrudniejszych chwilach życia.

Niektórzy z pośród miejscowej ludności mieli w swych mieszkaniach głośniki radiowe, więc dowiadywaliśmy się od nich jakie na przykład większe miasta polskie zostały wyzwolone. W tym czasie, zarówno z naszej jak i sąsiednich osad, zaczęto mężczyzn — Polaków powoływać do wojska. Gdy Wanda Wasilewska z grupą innych Polaków porozumiała się ze Stalinem, to zaczęto nadawać wtedy półgodzinne audycje radiowe w języku polskim, których słuchać chodziliśmy do sąsiada Rosjanina. I dopiero wtedy zaczęto nas łagodnie traktować. Nasz komendant całkowicie zmienił swe oblicze. Zaczął wszystkim mówić, że Polska będzie i że my pojedziemy do Polski, że jesteśmy już wolni i możemy stąd (tzn. z Białego Jaru) wyjechać do każdej innej miejscowości w Rosji. Moi rodzice też postanowili opuścić Białą Jar.

Po podjęciu takiej decyzji mama kupiła w kolchozie nieduży wózek z dyszelkiem i na czterech kółkach. Nocą, by nikt nas nie widział, załadowaliśmy na ten wózek wszystkie, jakie mieliśmy nasze rzeczy i wyruszyliśmy w nieznaną drogę. Razem z nami wyruszyło jednak jeszcze umówione dwie rodziny. Po przeprawieniu się przez Irtyś, co wcześniej było umówione z przewoźnikiem, starsi ciągnęli wózek, my młodzi z tyłu popychaliśmy go.

W ten sposób mimo obaw, przejechaliśmy około 200 km. Pożywieniem w drodze były nam przede wszystkim suchary (suszony chleb), które jeszcze w Białym Jarze przygotowywała mama. Każdego dnia rano, mama zalewała suchary w garnku gorącą wodą zostawiając je w niej, aż rozmiękną. Jedliśmy dopiero koło południa i bardzo smakowało. Zresztą wszystko tam było smaczne.

Po przebyciu tych około 200 km w pewnej miejscowości, której nazwy nie pamiętam, zostaliśmy zatrzymani przez milicję, która wszystkim dorosłym odebrała dokumenty. Zmuszeni byliśmy w ten sposób zatrzymać się w tej miejscowości i szukać jakiejś pracy dającej nam przeżyć. W niedalekim kolchozie przyjęto nas do pracy, lecz mieszkanie musieliśmy szukać na własną rękę. Znaleźliśmy je u jednej kolchoźnicy, której mąż był na wojnie. Wydzieliła nam miejsce na spanie przy jednej ze ścian. W dzień musieliśmy wszystkie rzeczy składać. Sezonowo ja też chodziłam do roboty w kolchozie. W Białym Jarze nie chodziłam, gdyż byłam jeszcze za młoda.

W kolchozie pracowałam już na równi z dorosłymi. Pamiętam jak jeden raz przypadło mi w niedzielę nosić worki ze zbożem. Dla kobiety była to bardzo ciężka praca. Jednakże organizacja tej pracy pozostawiała wiele do życzenia. Najbardziej jednak rzucała się w oczy beztroska zarówno o mienie jak i o zboże.

C. d. w następnym numerze

Kto nie chce likwidacji POM Dachnów?

Życie zmusza do poznania nowych słów. Takim słowem jest „likwidator”. Wielu używa go, ale nie bardzo wie, co ono oznacza. Kto powołuje tę osobę, jakie ma ona kompetencje, jak długo trwa jej działalność, na czym polega likwidacja przedsiębiorstwa, o tym wie jedynie garstka ludzi.

Wojewoda Przemyski zarządzeniem nr 52 z dnia 13 sierpnia br. postawił POM Dachnów w stan likwidacji a na likwidatora powołał mgr inż. Jerzego Romaniuka. Dla formalności należy podać, że jest to działanie bezprawne, gdyż podpisana przez Prezydenta ustawa o prywatyzacji przedsiębiorstw wchodząca w życie dopiero z dniem 1 września br. w art. 25 pkt. 1 zobowiązuje Radę Ministrów do określenia w drodze rozporządzenia sposobu likwidacji przedsiębiorstw państwowych, a szczególnie obowiązków i uprawnień likwidatora. Takie rozporządzenie jeszcze się nie ukazało, lecz Wojewoda Przemyski widać „chodził na skróty” i już w sierpniu określił sposób likwidacji POM i zadania dla likwidatora.

Sprawa POM w Dachnowie ciągnie się od kwietnia ubiegłego roku. Wtedy to po raz pierwszy były Dyrektor poinformował Wojewodę o zmniejszaniu się zysków i kłopotach finansowych. Uczynił to po raz drugi w listopadzie ub.r. Dopiero w kwietniu br. Wojewoda Przemyski powołał komisję w celu zbadania i oceny stanu gospodarczego tej jednostki. 8 maja Dyrekcja złożyła program naprawczy wynikający z ustaleń komisji. Wojewoda powołał jednak zespół przygotowawczy do likwidacji przedsiębiorstwa.

Jako uzasadnienie podaje: „...postępowanie naprawcze nie przyniesie spodziewanych rezultatów, gdyż nie jest możliwe wyeliminowanie negatywnych zjawisk związanych z działalnością tej jednostki gospodarczej.”

Powołany zespół przygotowawczy uznał **za słuszne likwidację przedsiębiorstwa** (podkreślenie E.D.).

Dlaczego tak wnioskowali członkowie zespołu łącznie z pracownikami POM? Sposób finansowania oraz obciążenia podatkowe przedsiębiorstw podyktowały im takie stanowisko. Wcale bezkrytycznie nie godzili się na pozostawienie swoich kolegów bez pracy. Myśleli, że likwidacji chcą wszyscy tzn. odpowiednie Ministerstwo, Wojewoda a szczególnie ich były kolega z pracy Burmistrz Gminy i Miasta Cieszanów inż. Jan Kowal. Według informacji przekazywanych im przez pracowników UW likwidacja miała nastąpić szybko i skutecznie. Likwidator powinien sprzedać tylko tę część majątku, która zapewni spłacenie wierzytelności i należności pracowniczych z tytułu pobrań i odpraw. Część majątku zostałaby. Na tej bazie, ktoś, kto kupiłby grunt i obiekty uruchomiłby jakąś działalność i ludzie mieliby zatrudnienie. Tak myślał szary pracownik, tak myśleli członkowie zespołu likwidacyjnego. Inaczej myślał Burmistrz i jego doradcy. Oni zakwestionowali prawa własności POM do ziemi, budynków i obiektów warsztatowo-produkcyjnych. Jaki mieli w tym cel, dzisiaj przypuszczalnie sami tego nie wiedzą. Może chodziło o to, żeby móc kiedyś powiedzieć: „myśmy nie chcieli was tak szybko sprzedać”. Do wniosku Burmistrza przychylił się Wojewoda i przesłał sprawę do właściwego Ministerstwa.

Była Dyrekcja POM wniosła zażalenie na postanowienie Wojewody, ale na to nie ma już kto odpowiedzieć, choć minęło parę miesięcy. W wyniku takiego działania praktycznie w zakresie likwidacji nic się nie dzieje oprócz spraw organizacyjnych. Wojewoda już raz przedłużył termin likwidacji i można przypuszczać, że będzie przedłużał go jeszcze kilkakrotnie, gdyż do tej pory nie ma kto definitywnie potwierdzić stanu własności budynków, obiektów, placów. Pracownicy nie wierzą w dobrą wolę urzędników. Pytają siebie nawzajem kto wreszcie chce tej likwidacji, kto jest za zmianą struktur własnościowych. Lokalni urzędnicy, których akta notarialne i dokumenty własnościowe nie mówią, może by teraz sprawę odwrócili, ale skoro ma ją Warszawa... Moi rozmówcy dziwią się dlaczego miejscowy Burmistrz tak postąpił. Przecież reszta majątku przedsiębiorstwa i tak zostanie mu przekazana, on będzie władał majątkiem Skarbu Państwa.

Już dzisiaj przyjeżdżają i telefonują osoby chętne do nabycia obiektów, placów. Przedstawiają swoje plany, lecz szybko odjeżdżają, gdy dowiadują się, że sprawa ugrzęzła w Warszawie a miejscowy Burmistrz kompetentny jest jedynie do stawiania niczym nie uzasadnionych wątpliwości. W całej tej „przyjemności” oprócz dobrej woli załogi jest jeszcze jeden ważny, pozytywny punkt. Jest nią osoba Likwidatora.

Pracował on tu 20 lat, cieszył się zaufaniem i szacunkiem, uznawano jego fachowość i rzetelność. On sam czuje się nie tylko Likwidatorem, pamięta też jako pracownik, że ciulano tu każdy grosz na rozbudowę, na utwardzanie placów, zakup maszyn. Tutejsi pracownicy są pewni, że pan Romaniuk nie sprzeda ich dorobku tanio, za darmo.

Znaczna część załogi mieszka w budynkach POM, czeka więc na rozstrzygnięcie biurokratycznych kwestii i liczy, że majątek nie ulegnie dewastacji i ktoś kto tu przyjdzie i zatrudni ich w pierwszej kolejności, jako byłych pracowników.

Może lepiej żeby przypomniał sobie znane przysłowie: „Jeśli umiesz liczyć, to licz na siebie”.

EDWARD DZIADUŁA

KRONIKA KRYMINALNA

Ku przestrodze mieszkańców miasteczek i wiosek Lubaczowszczyzny, przypominamy przysłowie: „OKAZJA CZYNI ZŁODZIEJA”.

Ogółem w okresie trzech kwartałów br. na terenie rejonu lubaczowskiego stwierdzono 708 różnych przestępstw. Dużo to czy mało oddajemy pod osąd Czytelników. Zgodnie z opinią sądu, prokuratury i policji wskaźnik ten jest o wiele za duży, gdy zważy się, że dominują z tendencją wzrostową, przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu, mieniu oraz rodzinie.

Informujemy tylko o niektórych przestępstwach, które zaistniały w drugiej dekadzie miesiąca października br.:

— wszczęto dwa postępowania karne o kradzież drewna na szkodę Nadleśnictwa Lubaczów przez mieszkańców Lisich Jam,

— dwie kradzieże magnetowidów oraz kasety na szkodę prywatną w Lubaczowie,

— kradzież silnika elektrycznego o wartości 2 mln zł, na szkodę „Ilgloopolu” w Horyńcu,

— kradzież roweru w Cieszanowie, (ten rodzaj przestępczości notowany jest na terenie rejonu od kilku lat). Sprawcami najczęściej są nieletni lub osoby nietrzeźwe, które kradną by dojechać do domu, a następnie porzucają rowery, lub montują nowe z wcześniej skradzionych. Nastręcza to dużą trudność w ustalaniu sprawców, a jedynym dowodem są karty gwarancyjne właścicieli lub rozpoznawanie przez świadków. Sprzyja temu procederowi brak jakiegokolwiek ewidencji — rejestracji rowerów przez gminy.

Ponadto prowadzone jest postępowanie przygotowawcze przeciwko dwóm nieletnim w sprawie włamania do sklepu, gdzie dokonano kradzieży na wartość 1 mln 800 tys. zł.

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią kilka danych z orzeczeń „MAŁEJ TEMIDY”, czyli Rejonowego Kolegium d.s. Wykroczeń w Lubaczowie.

W okresie trzech kwartałów br., do Kolegium wpłynęło ogółem 654 wniosków o ukaranie. W tej liczbie mieszczą się między innymi takie wykroczenia jak: przeciwko bezpieczeństwu i porządkowi w komunikacji (drogówki), które stanowiły około 70% wszystkich popełnionych wykroczeń, przeciwko bezpieczeństwu osób i mienia, prawie 13%, przeciwko porządkowi i spokojowi publicznemu około 15% (chuligaństwo). We wszystkich kategoriach wykroczeń dominują działania pod wpływem alkoholu.

Liczbowo najwięcej wykroczeń popełnianych jest na terenie m. Lubaczowa, głównie w poniedziałki i soboty. Ku usprawiedliwieniu Lubaczowian, wykroczenia te nie są tylko ich udziałem, ale tych którzy przyjechali do Lubaczowa na „piwko”.

Warto przypomnieć tym, którzy na szczęście i ich chwałę, nie zetknęli się z Wysokim Kolegium, że za każde wykroczenie można orzec karę grzywny w granicach od 20 tys. zł, do 1 miliona oraz karę dodatkową w wypadku popełnienia wykroczenia w komunikacji w stanie po spożyciu alkoholu (obligatoryjnie — w każdym przypadku), zakazu prowadzenia pojazdu od 6 miesięcy do 3 lat. Jest to chyba największa dolegliwość dla sprawców popełniających tego rodzaju wykroczenia, możliwości wykonywania zawodu.

W dotychczasowej praktyce, Kolegium lubaczowskie orzekało kary w granicach od 250—700 tys. zł (duża wyrozumiałość).

Popełniający wykroczenia, to osoby z reguły młode, nigdzie nie pracujące i często „kuronówka”, nie wystarcza, muszą dolożyć rodzice w placeniu orzekanych grzywien.

Informacje uzyskano w Prokuraturze Rejonowej i z Rejonowego Kolegium w Lubaczowie — dziękujemy!

ROM.

SZANOWNY PANIE BURMISTRZU m. LUBACZOWA!

Widzieliśmy Pana i jego ekipę od świtu do nocy przez wiele tygodni w działaniu.

Było to wszystko przed wizytą Papieża w Lubaczowie. Jak pięknie wyglądał Lubaczów nie musi się Pan wstydić, to ogromne zaangażowanie całej społeczności. Ten zryw społecznikowski na każdym kroku podziwiali ludzie z Polski i zza granicy. Chciało się im pokazywać nasze ulice, domy, osiedla, a nawet uliczki. Było schludnie, czysto, jeszcze bez wielu „budek” handlowych i waleśających się rodzinnych i przyjezdnych pijaków.

Mamy jeszcze kalendarzową jesień, nie czekajmy kiedy brudy, śmiecie, zniszczone już niestety chodniki pokryje śnieg. Prawie autostrada międzynarodowa przy ul. Arcyb. Baziaka, a chwasty

pozał się Boże, istny śmietnik na Małym Rynku — znowu międzynarodowy, a pieniądze od handlujących są pobierane każdego dnia.

Wiemy, że kieszeń miejska jest pusta, a może by tak zatrudnić młodych „kuroniovców”, którzy nie splamili się żadną pracą po ukończeniu szkół, wszak praca nie hańbi, jak kiedyś uczono.

Apel ten można by skierować też pod adresem Panów Burmistrzów w pozostałych gminach rejonu.

Proponujemy po trudach pracy rekonesans — przechadzkę po „swoich” włościach dla zdrowia i pożytku, a na chwałę Waszą Panowie.

Dziękujemy.

ROM.

WYNIKI WYBORÓW DO PARLAMENTU W LUBACZOWIE

Nazwa	Ilość głosów	procent głosów
Unia Demokratyczna	648	19,3
Sojusz Lewicy Demokr.	472	14,1
PSL-Sojusz Programowy	379	11,3
Konfederacja Polski Niepodl.	359	10,7
Unia Polityki Realnej	312	9,6
PO Centrum	233	6,9
„Solidarność”	154	4,6
Kongres Liberalno Demokr.	97	2,9
Porozumienie Ludowe	82	2,5
Wyborcza Akcja Katolicka	81	2,4
Głosowało:	3547	43,2

WIĘCEJ ROZWAGI

O wynikach pierwszych wolnych wyborów w Polsce po wojnie powiedziano już prawie wszystko. Dlatego też my zajmiemy się tylko ich kontekstem lokalnym. Do wyjątkowo często komentowanych należy fakt, że nikt z czwórki startujących z terenu byłego powiatu lubaczowskiego nie znalazł się w parlamencie. Jak więc to się stało, że ziemia ta obfitująca przecież w indywidualności polityczne, w ludzi mądrych, myślących kategoriami społecznymi, znowu nie ma ani jednego reprezentanta. A miały ich przecież i mają nadal byłe ościenne powiaty.

Na stan taki złożyło się kilka przyczyn. Jedną z nich to fakt, że w wyborcze szranki nie stanęli najlepsi. Ten rodzaj służby społecznej, w warunkach pełnej demokracji, wymaga wyjątkowych kwalifikacji i hartu ducha. Nie lada to bowiem sztuka ustawicznie interesy lokalne godzić z ogólnokrajowymi. W zamian, u większości kandydujących, górę wzięły subiektywne przekonania o swoich wysokich kompetencjach i predyspozycjach na parlamentarzystów. Nie w każdym przypadku były one jednak poparte faktycznymi dokonaniem i uznaniem ludzi.

Tymczasem warunkiem podstawowym upoważniającym do ubiegania się o mandat posła czy senatora winne być przede wszystkim dokonania we własnym środowisku. Jeśli czytamy życiorysy wybitnych parlamentarzystów, również z tego regionu, to zawsze ci ludzie dali się wcześniej poznać jako wybitni fachowcy, administratorzy i działacze zdolni podrywać mieszkańców wsi, gminy, miasta do zbiorowych działań. Taki autorytet oczywiście zdobywany był latami żmudnej pracy.

W naszej sytuacji dokonania we własnym środowisku nie były mocną stroną kandydujących. Stąd też z wyjątkiem może J. Michalika, wszyscy pozostali na spotkaniach z wyborcami bardziej woleli mówić o dokonaniach w kraju, regionie niż na własnym podwórku w gminie czy mieście.

Kolejna przyczyna porażki to zbyt duże rozrzut głosów wyborców. Nie zwyciężyła idea jednoczenia sił. Lansowana od dwóch lat polityka dzielenia Polaków zrobiła swoje. Szczególne „osiągnięcia” w tym względzie mieli działacze z Centrum. Na wykupionej przez siebie kolumnie Życia Przemyskiego zamiast reklamować, popularyzować własnych kandydatów, zajęli się dyskredytacją człowieka z Unii Demokratycznej a więc wyrosłego przecież z tego samego pnia solidarnościowego.

Oczywiście nie jest nigdzie powiedziane, że każdy był powiat winien mieć swoich parlamentarzystów. Mamy mnóstwo przykładów zaświadczaających, że interesów danych wyborców doskonale można bronić z zewnątrz. Liczy się bowiem talent i zaangażowanie parlamentarzysty. Niemniej jednak w myśl zasady „bliższa kosała ciału” byłoby korzystne dla tego terenu gdybyśmy mieli w sejmie czy senacie swojego reprezentanta.

MAREK WRZOS

SPORT

W poprzednim numerze naszego pisma rozpoczęliśmy druk działu sportowego. Z góry przepraszamy, że zamieszczonych wyników nie opatrzyliśmy komentarzem. Pionierskie przedsięwzięcie jakim jest w naszym regionie wydawanie dwutygodnika, konieczność dopracowania wielu spraw organizacyjnych, po części to usprawiedliwiają. Począwszy od bieżącego numeru postaramy się to Czytelnikom zrekompensować. Będziemy podawać wyniki rozgrywek piłkarskich Klasy „A” Grupy „Lubaczowskiej” Grupy „B” i wszystkich innych imprez sportowych rozgrywanych na naszym terenie.

Wyniki klasy „A” seniorów grupy IV — lubaczowskiej dziewiątej kolejki z dnia 20.10.1991 r.

Krowica S. — Płazów	4 : 1
Stary Dzików — Nowe Sióło	2 : 2
Basznia D. — Załuże	0 : 2
Oleszyce — Dachnów	1 : 1
Lisie Jamy — Mięksisz N.	1 : 1
Młodów — Horyniec	3 : 3

Wyniki dziesiątej kolejki z dnia 27.10.1991 r.

Płazów — Horyniec	1 : 2
Mięksisz N. — Młodów	1 : 1
Dachnów — Lisie Jamy	1 : 2
Załuże — Oleszyce	3 : 3
Nowe Sióło — Basznia D.	2 : 0
Krowica S. — Stary Dzików	3 : 0

Będziemy również przeprowadzać wywiady z zasłużonymi działaczami sportowymi, zawodnikami, sędziami, poruszać problemy nurtujące środowisko sportowe, których wbrew pozorom nie tylko w „wielkim sporcie” jest bardzo dużo. W dzisiejszych trudnych czasach, gdy brak pieniędzy na kulturę, sztukę w wymiarze wiejskim i małomiasteczkowym; sport, szczególnie piłka nożna jakoś się trzyma. Zawdzięczamy to zapalonym grupom ludzi, którzy dokonując nieraz karkołomnych wyczynów, aby klub utrzymać starają się w niedzielne popołudnie dać ludziom odrobinę rozrywki. Mamy nadzieję, że poprzez poruszanie na łamach naszego pisma, regionalnej problematyki sportowej będziemy mieli w tym, swój skromny udział.

Ryszard Kaczka

Wyniki ostatniej kolejki spotkań rundy jesiennej klasy „A” — seniorów grupy IV-lubaczowskiej.

1. Dzików — Płazów	1 : 2
2. Basznia — Krowica	0 : 2
3. Oleszyce — Nowe Sióło	3 : 0
4. Lisie Jamy — Załuże	4 : 1
5. Młodów — Dachnów	5 : 3
6. Horyniec — Mięksisz	3 : 1

Końcowa tabela po rundzie jesiennej klasy „A” — seniorów.

1. Horyniec Zdrój	— 11	16—6	34—22
2. Młodów	— 11	16—6	33—22
3. Mięksisz Nowy	— 11	14—8	25—17
4. Oleszyce	— 11	14—8	23—16
5. Płazów	— 11	13—9	22—22
6. Lisie Jamy	— 11	12—10	23—13
7. Nowe Sióło	— 11	12—10	19—17
8. Krowica S.	— 11	11—11	27—24
9. Załuże	— 11	10—12	16—23
10. Dachnów	— 11	6—16	21—29
11. Dzików Stary	— 11	5—17	10—30
12. Basznia Dolna	— 11	3—19	8—26

Wyniki klasy „B”. Runda jesienna 1991/1992 — 18.08.1991 r.

Borowa Góra — Ułazów	2 : 7
Łukawiec II — Stare Sióło	3 : 4
Niemstów — Ruda Róż.	0 : 2
Futury — Wielkie Oczy	1 : 6

25.08.1991 r.

Wielkie Oczy — Łukawiec II	1 : 4
Basznia Górna — Futury	1 : 3
Stare Sióło — Niemstów	2 : 1
Ruda Róż. — Oleszyce	1 : 0

1.09.1991 r.

Niemstów — Wielkie Oczy	3 : 3
Oleszyce — Stare Sióło	0 : 7
Łukawiec II — Basznia Górna	8 : 0
Futury — Ułazów	3 : 2

8.09.1991 r.

Futury — Łukawiec II	2 : 2
Niemstów — Borowa Góra	5 : 0
Ułazów — Ruda Róż.	2 : 4
Wielkie Oczy — Oleszyce	9 : 1

15.09.1991 r.

Łukawiec II — Ułazów	2 : 1
Niemstów — Futury	3 : 1
Oleszyce — Borowa Góra	3 : 1
Ruda Róż. — Stare Sióło	0 : 0

22.09.1991 r.

Ułazów — Stare Sióło	1 : 3
Wielkie Oczy — Ruda Róż.	4 : 4
Futury — Oleszyce	4 : 0
Łukawiec II — Niemstów	6 : 2

29.09.1991 r.

Niemstów — Ułazów	2 : 1
Oleszyce — Łukawiec II	4 : 5
Ruda Róż. — Borowa Góra	2 : 0
Stare Sióło — Wielkie Oczy	3 : 0

6.10.1991 r.

Ułazów — Wielkie Oczy	1 : 3
Futury — Ruda Róż.	2 : 3
Borowa Góra — Stare Sióło	1 : 1
Niemstów — Oleszyce	1 : 2

13.10.1991 r.

Oleszyce — Ułazów	4 : 1
Ruda Róż. — Łukawiec II	2 : 1
Wielkie Oczy — Borowa Góra	8 : 2
Stare Sióło — Futury	3 : 1

W rundzie jesiennej B-Klasy żółty kartonik ujrzało 18 zawodników (w całym sezonie 1990/91 — 72). Kartkę czerwoną otrzymał Lorenc Zygmunt z Futur.

Końcowa tabela rundy jesiennej B — Klasy

	Ilość spotkań	Punkty	Bramki
1. Ruda Różaniecka	8	14—2	18—9
2. Stare Sióło	8	14—2	15—7
3. Łukawiec II	8	11—5	31—16
4. Wielkie Oczy	8	10—6	29—19
5. Niemstów	8	7—9	17—17
6. Futury	8	7—9	17—20
7. Oleszyce	8	6—10	14—29
8. Ułazów	8	2—14	16—23
9. Borowa Góra	8	1—15	7—37

R.K.

RZECZY CIEKAWE, DZIWNE I ZASKAKUJĄCE

Jeden z kierowców R. W. jadący z Naroła do Lubaczowa wyprzedził wolno jadącą furmankę. Na dany sygnał klaksonem fura zjechała grzecznie na pobocze. Przejeżdżający obok kierowca zauważył ze zdumieniem, że na wozie nie było nikogo. Koń sam wracał do domu i sam reagował na klaksony.

W Wielkich Oczach zdechł pies ratując życie całej 6-osobowej rodziny M. Spożył on niepostrzeżenie zebrane i przygotowane przez rodzinę M. na kolację trujące grzyby.

Jeden w zaawansowanym wieku kawaler w Cieszanowie o ustalonej sławie „zdobywca niewieścich serc” ma oryginalną, choć nieco staroświecką metodę „podrywania”. Otóż kłaniając się mówi do nowo poznanej kobiety: „Całuję rączki aż do stopek”.

Pewna gospodyni wiejska spędzając dzień na targu w Lubaczowie kilka razy poczuła tu i ówdzie na ciele podejrzaną łaskotanie. Gdy się rozbierała po powrocie do domu przeżyła chwilę grozy. Zza pazu chy wyskoczyła mysz, która jej dzielnie towarzyszyła przez cały czas pobytu w mieście.

Niesamowite emocje przeżyli uczestnicy pogrzebu 80-letniej Janiny L. z D. W chwili gdy z domu wynoszono trumnę ze zwłokami wszyscy usłyszeli przeraźliwy pisk wydobywający się z jej wnętrza. Trumnę otwarto i wtedy wyskoczył z niej czarny kot — ulubieniec zmarłej.

W październiku, jednego dnia zauważono na rynku w Lubaczowie młodą, ładną dziewczynę. Na plecach eleganckiej kurtki miała wyhaftowany napis: „Nie zaczepiać, kocham męża”. Niestety napis odnosił wręcz odwrotny skutek.

Przy oczyszczaniu jednego z uli ob. W. z Niemstowa znalazł podejrzaną bryłę wosku. Po jej rozbiciu okazało się, że tkwi w niej martwa mysz polna. W ten oryginalny sposób pszczoły „pogrzebały” nieproszonego gościa zakłuwszy go wcześniej na śmierć.

Przysłowia jesienne

Gdy jesień zamglona — zima zaśnieżona.

Jesień bezdeszczowa — a zima wiatrowa.

Idzie jesień a tu pusta kieszeń.

Jaka pogoda listopadowa, taka i marcowa.

Kwitną drzewa w listopadzie — zima aż do maja będzie.

Na świętego Jędrzeja (30 XI) trza kozucha dobrodzieja.

HUMOR

Na plaży nudystów

— Pani mi się bardzo podoba.

— Tak, widzę to...

Prokurator przesłuchuje przed obliczem sądu oskarżonego o gwałt.

— Czy oskarżony napastował powódkę?

— Nie, na sucho...

— Czy opierała się?

— Tak o ścianę.

Do kontuaru w barze podchodzi podpity facet.

— Ma pani czystą?

— Mam.

— To poproszę dwa razy szybko na stojąco.

Przed sądem rabinackim toczy się sprawa o zgwałcenie. Oskarżony to mały, chudziutki cherlawy mężczyzna. Natomiast poszkodowana to wysoka, potężna kobieta, prawdziwa herod-baba. Rabin każe kobiecie opowiedzieć przebieg wydarzenia.

— Rebe — zaczyna powódka — Chaim zaprosił mnie na spacer do lasu. Jak tylko zeszedliśmy ze ścieżki, ten łajdak rzucił się na mnie i zgwałcił.

— Sure-Szajndl, jak Chaim mógł cię zgwałcić? Przecież ty jesteś wysoka, silną kobietą, a Chaim jest — jak widać niski, chudy, słaby, ledwie zipie. Więc jak to było naprawdę?

— No ja trochę przykucnęłam.

Ojciec mówi do syna:

— Podobno przyjaźnisz się z Elką?

— To prawda. A masz coś przeciwko temu?

— Nie. Ja w twoim wieku też z nią się przyjaźniłem.

Przychodzi kobieta do lekarza i pyta:

— Czy nie zostawiłam u pana halki?

— Nie, na pewno nie.

— To przepraszam, musiałam zostawić u dentysty.

Na prywatce chłopak mówi do dziewczyny:

— Jesteś pierwszą w której się zakochałem.

— Co za pech! Znowu początkujący...

Powiedzenia Pana Bolka z Cieszanowa

Kombinujesz jak koń pod górę.

To ci się należy jak chłopu ziemia.

Wydać córkę za mąż to tak, jak by spaliła ci się stodoła i krowy przestały dawać mleko.

W następnym numerze między innymi:

- Zdobywałem Monte Cassino.
- Dom Przedpogrzebowy w Cieszanowie?
- Co mu zostało z rolnika wzorowego?
- Gdy przyjdzie jesień życia.

Kresowiak Galicyjski

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów ul. Leśna 9.

Redaguje zespół. Redaktor naczelny: Marian Ważny.

Korekta: Krystyna Serwatko.

Wydawca: Agencja Reklamowo Marketingowa spół. z o. o.

Wydawanie Kresowiaka Galicyjskiego finansuje Spółka „Kresowiak”.

Skład Mitel s.c., Rzeszów, ul. Hetmańska 15.

Druk Punkt s.c., Rzeszów, ul. Boya-Żeleńskiego 23.